

NIE UZNAJĘ NIEMOŻLIWOŚCI

- rozmowa z Jackiem Pańkiewiczem

- Pewnego dnia przyszła mi do głowy myśl, że interesuję się survivaliem, zgłębiam tajniki przetrwania w trudnych warunkach, więc powinienem sam pokazać - aby przekonać potencjalnego rozbitka - że jeśli się nie podda i nie załamie, to szalupa ratunkowa, na której mógłby się znaleźć, jest w stanie ocalić mu życie - mówi Jacek Pańkiewicz, znany polski podróżnik, dziennikarz i członek rzeczywisty brytyjskiego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego o swojej samotnej wyprawie w szalupie ratunkowej przez Atlantyk.

ROZMAWIA IZABELLA JARSKA

Czy w dzieciństwie zaczytywał się Pan w książkach podróżniczych?

- Nie tylko sam się zaczytywałem, ale nawet wcześniej, jeszcze kiedy byłem małym dzieckiem, książki podróżnicze czytała mi ciocia, a mi bardzo się podobały opowieści o innych kulturach. Później także gustowałem w takiej lekturze. Trzeba przy tym pamiętać, że w czasach mojego dzieciństwa i młodości nie było tych wszystkich „pożeraczy” uwagi, jakie są teraz i które powodują, że nikt już książek nie czyta. Wtedy inaczej spędzało się czas. Czytało się książki lub uprawiało sport... Albo piło tanie wino...

Pański życiorys jest bardzo barwny. Wśród wielu innych zajęć pływał Pan między innymi jako oficer pod panamską banderą. Jak Pan tam trafił?

- Żeby trafić na statek jako oficer normalną drogą, trzeba było skończyć Szkołę Morską i później mieć jeszcze kilka lat praktyki. Ja takiej szkoły w Polsce nie skończyłem i dopiero kiedy byłem we Włoszech okazało się, że w konsulacie Liberii w Genui, można było zdać egzamin na patent oficera tzw. tanich bander: liberyjskich, panamskich itp. W ciągu dwóch tygodni wraz z jednym ze znajomych oficerów floty - Polakiem, z którym się zaprzyjaźniłem - u mnie w domu przerobiliśmy cały program pięcioletniej nauki. Pojechałem potem na ten egzamin w Genui i go zdałem.

Czy na statek zagnała Pana pasja podróżnicza czy ona się dopiero podczas tych morskich podróży obudziła?

- Pasja do podróży była dużo, dużo wcześniej, bo już w szkole podstawowej. Kiedy podczas uroczystości w domu rodzinnym pytano mnie: „mały, a kim ty byś



PolSKI eksplorator wśród Janomami, najbardziej prymitywnego plemienia amazońskiego

Pasja do podróży była już w szkole podstawowej. Kiedy podczas uroczystości w domu rodzinnym pytano mnie: „mały, a kim ty byś chciał być w przyszłości?”, zawsze odpowiadałem - nie że chciałbym być - tylko że będę podróżnikiem.

chciał być w przyszłości?”, zawsze odpowiadałem - nie że chciałbym być - tylko że będę podróżnikiem. Co do pływania na statkach to po prostu, kiedy znalazłem się we Włoszech, nie znałem tam nikogo, na kim mógłbym się oprzeć albo liczyć na jego pomoc. A wyjeżdżając miałem ze sobą 10 dolarów, bo taki był wtedy tzw. przydział waluty dozwolonej do legalnego wywiezienia z kraju. W związku z tym interesowała mnie każda praca, a ta był dobrze płatna, bo na czarno. A jednocześnie dawała mi możliwość poznawania świata. Pracowałem pod banderą panamską dwa lata. Potem, kiedy już stanąłem na nogi i czułem się pewniej finansowo, mogłem z tej pracy zrezygnować.

Trafił Pan także do kopalni diamentów w Sierra Leone...

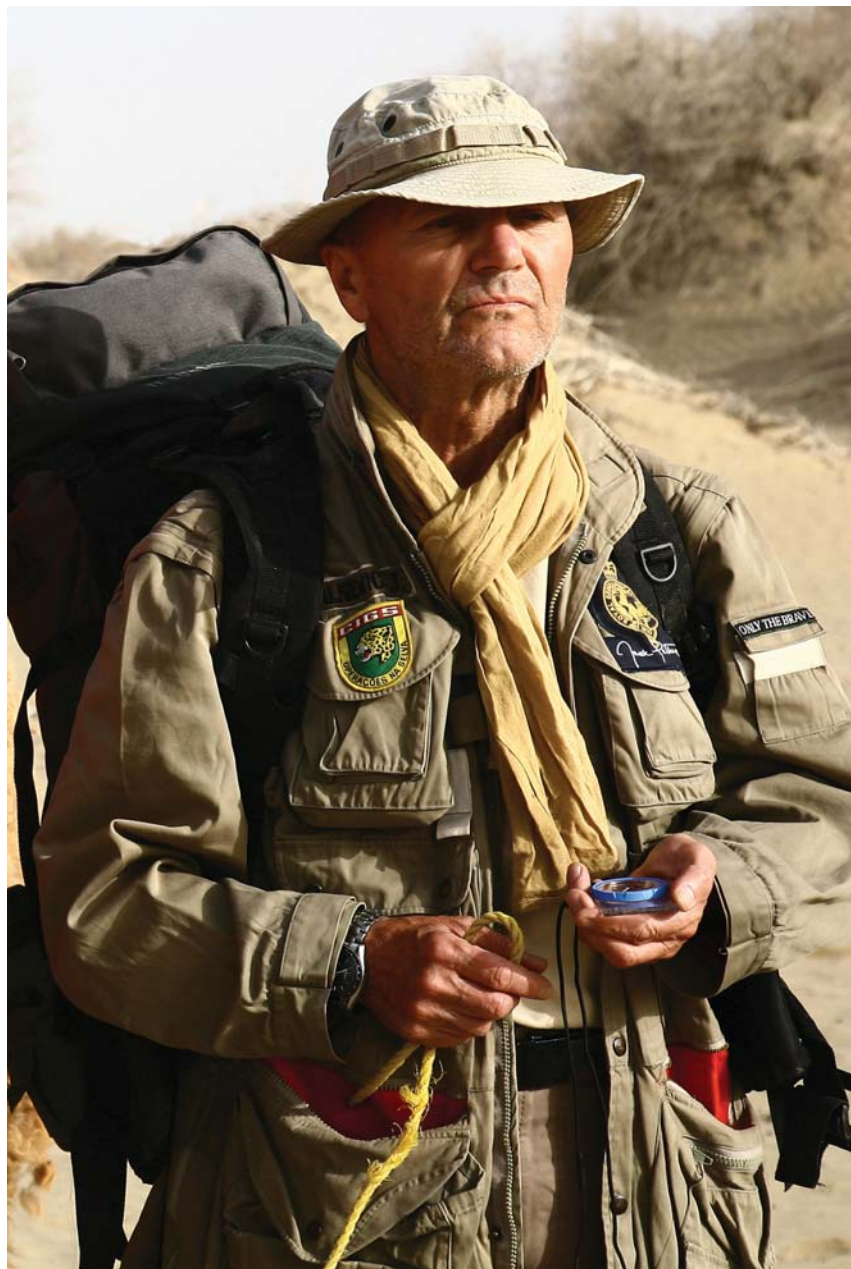
- Stało się tak dlatego, że wcześniej pracowałem w Ghanie w kopalni złota i sporo podróżowałem po Afryce. Miałem dzięki temu trochę kontaktów, zwłaszcza we włoskich środowiskach. Kiedyś świeżo poznany znajomy, z którym miałem wspólnego przyjaciela, powiedział mi, że pracuje w Sierra Leone w ochronie kopalni diamentów, i że właśnie zwolniło się dwóch ludzi, więc może byłbym zainteresowany taką posadą. A ponieważ ja już wcześniej interesowałem się survivaliem i kwestią bezpieczeństwa, dwa dni później dotarłem do tej kopalni i zacząłem tam pracę.

Czy umiałby Pan ocenić wartość diamentu?

- Z grubsza raczej tak, ale gdy idzie o niuanse takiej wyceny na pewno nie, bo do tego potrzeba już oka specjalisty.

Jakie wydarzenie może Pan uznać za moment graniczny, od którego mógłby Pan powiedzieć, że stał się podróżnikiem, a nie kimś jedynie dużo podróżującym?

- Był to rok 1975, kiedy samotnie w szalupie ratunkowej przepłynąłem Atlantyk. Gdy wyruszałem na tę wyprawę, byłem kimś całkowicie nieznanym publicznie. Ot, jednym z emigrantów zza żelaznej kurtyny. Po jej zakończeniu moje nazwisko stało się znane i zyskałem taką pozycję, że mogłem wybierać sponsorów. To wydarzenie pociągnęło za sobą dalsze wypadki. Niemalże równolegle trafiłem do włoskiej prasy jako dziennikarz. W dodatku zacząłem od dużych tytułów, pisałem m.in. dla "Corriere della Sera". Później wielu kolegów po piórze dziwiło się, jak mi się udało tam dostać tak szybko, skoro ich to kosztowało wiele lat mozolnych starań i wspinania po kolejnych szczeblach zawodowych w oczekiwaniu na miejsce w takiej gazecie. Ze mną było tak, że mając żyłkę do wojażowania, sprzedawałem reportaże ze swoich licznych podróży różnym gazetom jako freelancer. Było wtedy bowiem zapotrzebowanie na



Jacek Pałkiewicz

Reporter, dziennikarz i podróżnik. Twórca survivalu w Europie. Zanim został dziennikarzem, zarabiał na życie jako oficer na statkach bandery panamskiej, pracował w kopalni złota w Ghanie, poszukiwał diamentów w Sierra Leone oraz pływał jako kapitan na wielkich jachtach. W 1975 r. przepłynął samotnie Atlantyk na pięciometrowej łodzi ratunkowej. Jego czterdziestoczterodniowy rejs był pierwszą tego rodzaju wyprawą w historii żeglugi. Założona przez niego w 1983 r. we Włoszech szkoła przetrwania stała się wzorem do naśladowania w wielu krajach. Współpracował z rosyjskim Centrum Szkolenia Kosmonautów w programie survivalowym oraz uczył elitarne jednostki specjalne strategii przetrwania w odmiennych strefach klimatycznych. Kierował wieloma wyprawami międzynarodowymi pod wszystkimi szerokościami geograficznymi świata. W 1994 r. został członkiem rzeczywistym elitarnego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie. W 1996 r. jego naukowa ekspedycja zlokalizowała źródło Amazonki, rozwiewając tym samym kontrowersje co do miejsca narodzin największej rzeki świata. Odkrycie zostało oficjalnie potwierdzone przez Towarzystwo Geograficzne w Limie oraz uhonorowane odznaczeniem Kawalera Orderu Zasługi Republiki Włoskiej. Jacek Pałkiewicz jest autorem dwudziestu kilku książek i publikuje swoje reportaże na łamach poczytnych czasopism europejskich. W Polsce pisze do „Plus i Minus”, dodatku publicystyczno-reporterskiego „Rzeczpospolitej”. W 1998 r. otrzymał główną nagrodę „Bursztynowy Motyl” za najlepszą książkę podróżniczą roku („Terra incognita”, wyd. Bellona).



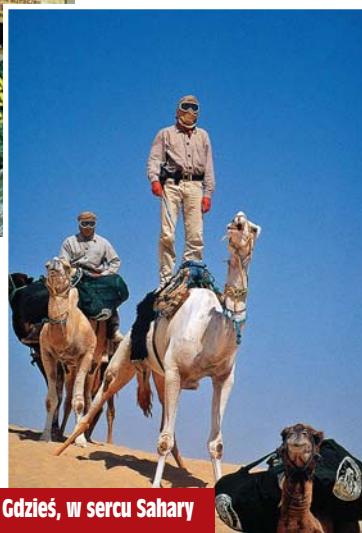
Twórczość literacka Jacka Palkiewicza



Z małżonką Lindą Vernola



Na przelaj przez wyspę Borneo



Gdzieś, w sercu Sahary

da moja podróż kończyła się później reportażem, nawet musiałem się nauczyć fotografowania, żeby te artykuły móc zilustrować.

Spędził Pan samotnie na Atlantyku 44 dni. Co wpłynęło na podjęcie decyzji o tej wyprawie?

- Żeglarstwem zajmowałem się niemalże od dziecka, już jako trzynastolatek zdobyłem patent żeglarza. Ale nie było mnie stać na jacht, żebym mógł się wybrać w dłuższy rejs. Pewnego dnia przyszła mi do głowy myśl, że interesuję się survivaliem, zgłębiałem tajniki przetrwania w trudnych warunkach, więc powinienem sam pokazać - aby przekonać potencjalnego rozbitka - że jeśli się nie podda i nie załamie, to szalupa ratunkowa, na której mógłby się znaleźć, jest w stanie ocalić mu

życie. Pamiętałem, że statystyki z okresu II Wojny Światowej mówiły o tym, iż dziewięćdziesiąt pięć procent osób spośród tych które zginęły na morzu jako rozbitkowie, straciło życie w chwilę po tym jak się poddali, czyli przestali wierzyć w swoje ocalenie. I ja chciałem udowodnić, że nie trzeba się poddawać i tracić wiary aż do końca.

Był Pan pionierem survivalu...

- W Europie na pewno tak. W Stanach Zjednoczonych już wiele lat wcześniej survival był znany, tyle że pod innym kątem. Na przykład takim: „jak przetrwać kiedy sąsiad znacznie strzelać”, albo: „jak zbudować schron przeciwoatomowy”, ponieważ były to czasy „zimnej wojny”. Czyli chodziło o obronę przed zagrożeniem, jakim jest drugi człowiek. Ja poszedłem w innym kierunku, w stronę budowania własnej wytrzymałości, i to było wtedy pionierskie.

Szkołę Pan między innymi kosmonautów

- Tak, ale dopiero wtedy, kiedy zebrałem już trochę doświadczeń. Od rosyjskich kosmonautów otrzymałem zaproszenie, ponieważ dowiedzieli się o mojej szkole survivalu i prowadziłem dla nich dwuletnie szkolenia przetrwania w trudnych środowiskach, np. w tajdze, w strefie polarnej, na morzu, na pustyni itp.

Kolejne wydarzenie które przyniosło Panu rozgłos to zlokalizowanie źródła Amazonki. Były wokół tego kontrowersje...

- Na temat kontrowersji nie będę się wypowiadał, ponieważ z hochsztaplerami nie mam ani zamiaru, ani czasu wdawać się w polemiki. Czuję się uprawniony do nazwania tych „kontrowersji” hochszta-

egzotykę, przygody i podróżnictwo. Czułem się w tych tematach dobrze i dlatego udało mi się niemal z rozbiegu wejść na łamy „Corriere della Sera”, gdzie pracowałem przez kilkanaście lat. Więc to wszystko było ze sobą powiązane. I każ-



Żeglarskie wakacje z prezydentem Komorowskim



Historyczne spotkanie trzech prezydentów RP, zorganizowane w 2011 r. przez Jacka Palkiewicza

plerką, ponieważ władze Peru uznały i certyfikowały moje odkrycie oraz wystawiły w tym miejscu obelisk z tablicą pamiątkową.

Jest Pan członkiem elitarnego brytyjskiego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Cudzoziemcowi chyba nie jest łatwo dostać się w jego szeregi? Jakie trzeba mieć zasługi, żeby zostać członkiem tego Towarzystwa?

- Trzeba mieć dwóch wprowadzających. W moim przypadku historia była kuriozalna, ponieważ miałem tylko jednego poręczyciela, którym był Thor Heyerdahl (norweski odkrywca i podróżnik). W Królewskim Towarzystwie Geograficznym początkowo zastanawiano się, kto powinien być drugim wprowadzającym, ale w końcu uznano, że on jeden wystarczy za dwóch.

Czy bycie członkiem rzeczywistym (czyli wyższego stopnia) tego Towarzystwa jest tylko funkcją honorową, czy wiąże się także z jakimiś obowiązkami?

- Daje to przede wszystkim dużo satysfakcji oraz prestiż. Kiedy czasami podczas organizowania wyprawy trzeba „otworzyć jakieś drzwi” lub coś ułatwić bądź przyspieszyć, to legitymacja członkowska Towarzystwa zazwyczaj robi duże wrażenie.

Która z licznych odbytych wypraw jest dla Pana najbardziej znacząca?

- Trudno by mi było stworzyć jakiś stały ranking, chociaż pewnie Atlantyk zdecydowanie zawsze wysunie się na prowadzenie. W czołówce będzie też zapewne wyspa Borneo, którą przeszliśmy od brzegu do brzegu, co się nam udało nawet indonezyjskim komandosom. Nie chcę przez to powiedzieć, że byliśmy lepsi od tych komandosów, tylko mieliśmy po prostu korzystniejsze warunki pogodowe. Na pewno będzie to także wyprawa na reńferych do bieguna zimna na Syberii,

gdzie spędziliśmy miesiąc w temperaturach minus 40 - 50 stopni Celsjusza. Również kilka wypraw na pustynie, podczas których testowaliśmy m.in. wytrzymałość organizmów na brak wody, było bardzo istotnych.

Czy zdarzyła się Panu podczas podróży jakaś naprawdę niebezpieczna sytuacja, kiedy poczuł się pan zagrożony?

- W książkach podróżniczych często czyta się o różnych niebezpieczeństwach, na przykład w zetknięciu z prymitywnymi plemionami czy dzikimi zwierzętami. W praktyce jednak jest tak, że ja właściwie nie pamiętam żadnej naprawdę dla mnie groźnej sytuacji. Na górnym Orinoko byłem na przykład pierwszym białym człowiekiem, którego zobaczyli mieszkańcy jednego z tamtejszych plemion. Wydawałoby się, że ryzyko było duże. Jak się jednak okazało nie było zagrożenia. Na wszelki wypadek zawsze wożę ze sobą worek z prezentami, kiedy jadę w jakieś odległe miejsca. Nawet nie po to, aby oddalić zagrożenie, tylko raczej żeby się zaprzyjaźnić i lepiej sobie ułożyć stosunki z tubylcami.

Kwestie ekologiczne od lat leżą Panu na sercu. Czy to dlatego, że podczas licznych podróży niejednokrotnie miał Pan możliwość obserwowania z bliska tego, że jakaś roślina lub zwierzę może wyginąć? Czy daje to większą świadomość ekologiczną?

- Na pewno oglądanie czegoś z bliska, a nie na ekranie telewizora, zwiększa świadomość tego, co znaczą zmiany klimatyczne lub czym są ginące gatunki. Również obserwacja prymitywnego Indianina, który nie zetnie ani jednego drzewa a nawet gałęzi więcej niż mu to niezbędne do zbudowania szałasów czy nie zabije ani jednego więcej zwierzęcia niż musi - daje do myślenia i otwiera oczy. Jest w tym wiele mądrości, o której my, żyjący w

świecie rozszalałej konsumpcji i ciągłej pogoni za nowościami, zazwyczaj zapominamy. A to wszystko doprowadza do niszczenia środowiska.

Czy jest jakaś wyprawa, którą bardzo chciałby Pan zorganizować? Takie niespełnione podróżnicze marzenie?

- Nie używam słowa marzenie, bo staram się swoje pomysły wprowadzać w czyn. Jednak mniej więcej 10 lat temu szukałem w Amazonii El Dorado. Zazwyczaj organizując wyprawy nie kieruję się legendami, ponieważ solidnie stoję nogami na ziemi. Ale wpadł mi w ręce XVI-wieczny dokument Jezuitów potwierdzający istnienie El Dorado. Była to prośba do Watykanu o zgodę na chrystianizację mieszkańców tego miasta. To mnie zaciekawiło i zacząłem szukać tego miejsca. Jak wiadomo El Dorado jest poszukiwane od 400 lat i te poszukiwania pochłonęły już wiele istnień. W mojej wyprawie doszliśmy do takiego miejsca, o którym sądzę, że było bardzo blisko celu. Znaleźliśmy tam ślady bytności człowieka, jakieś konstrukcje i budowle... Musieliśmy jednak zrezygnować z kontynuowania wyprawy z różnych powodów, m.in. ze względu na malarię oraz na wyczerpanie zapasów żywności. Później nie wróciłem do tej sprawy, ponieważ Europa wpadła w kryzys i trudno było znaleźć sponsora na ten projekt. Jednak obecnie przychodzi mi z pomocą rozwój technologiczny i instrument o nazwie lidar, który podczepiony do śmigłowca pozwala na fotografowanie terenu nawet przez warstwę gruntu czy gęstą roślinność. Myślę, że dzięki temu urzędzeniu można będzie tym razem dotrzeć do celu. Stąd ponownie pojawiła się idea poszukania sponsora i zorganizowania kolejnej wyprawy do El Dorado. Prawdopodobieństwo osiągnięcia celu wyprawy tym razem jest już naprawdę duże. ■